

WAMPIR Z WOŹNICKICH DOŁÓW

*Trzy listopadowe noce
odślą sekrety z przeszłości*



KONRAD
CHĘCIŃSKI

MO
VA

KONRAD CHĘCIŃSKI

**WAMPIR
Z WOŹNICKICH
DOŁÓW**



Redaktor prowadzący: Wojciech Ciuraj

Wydawca: Wojciech Ciuraj

Redakcja: Adrian Kyć

Korekta: Sylwia Zazulak

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Ilustracja na okładce: © Creaturart, © Komuso & Colorsandia,

© maaramore / Stock.Adobe.com

Ilustracja na wyklejce: © AdobeLibrary / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2025 by Konrad Chęciński

Copyright © 2026, Mova an imprint of Wydawnictwo Kobiecte

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2026

ISBN 978-83-8417-381-7

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl





Okna biblioteki wychodziły na cmentarz. Mieszkańcy Woźnickich Dołów wiedzieli o tym doskonale, lecz gdy w oczekiwaniu, aż Halinka przyniesie zamówioną książkę, spoglądali ku splątanej kępie starych drzew za szybą, wielu nie pamiętało, co się w ich ponurym cieniu kryje.

Dzieci przychodzące tu z początkiem roku szkolnego bardziej niż widokiem zza okna zaaferowane były nowym miejscem, unoszącym się wokół zapachem wieloletniego kurzu, mnogością książek zebranych w dwóch niewielkich pokoikach i nerwowym napominaniem wychowawczyni, aby nie rozmawiać i niczego nie dotykać. Dorośli natomiast w gęstwinie drzew i krzewów widzieli co najwyżej zaniedbany teren, który należało wyrównać, uporządkować i wykorzystać tak, aby służył wszystkim. Czyli zrobić tam boisko albo chociaż plac zabaw.

I dopiero gdy wraz z nadejściem października opadające liście poczynały odsłaniać znajome kształty niszczących mogił,

ścieląc pod konarami sękatych wiązów brunatny dywan, ludzie przypominali sobie, że tam rzeczywiście jest cementarz.

Tych grobów nie było wiele. Zaledwie kilka pochylonych krzyży i jeden kaleki anioł z utraconym skrzydłem, patrzący w niebo poprzez gęstwę obrośniętych bluszczem gałęzi. I jeszcze schowana w głębi bryła dawnej kaplicy – ponury budynek z brunatnej cegły, bez okien, kryty popękana, omszałą dachówką.

Przez większą część roku nikt tu nie przychodził. Po zimie i wiosennych roztopach w niecce przed wejściem zbierała się woda i tworzyła coś na kształt płytkiego bajorka, a latem ścieżka za murem biblioteki zarastała chwastami, odcinając cementarz od drogi. W pierwszych dniach września pojawiały się tu dzieci z podstawówki, by uprzątnąć teren pod czujnym okiem pani dyrektor Nowackiej. Robiły przy tym zawsze sporo zamieszania, dzięki czemu był to jedyny dzień w roku, kiedy na chwilę wracało tu życie.

Tyle że Halinka tego właśnie dnia nienawidziła najbardziej. Zamykała okna w bibliotece i wchodziła między regały, aby odgrodzić świadomość od dzikich wrzasków dochodzących zza ściany. Dzieci zawsze działały jej na nerwy – ta ich ruchliwość nie do ogarnięcia, te dzikie wrzaski i piski przywodziły na myśl stadko wypuszczonych na wolność zwierzątek, nad którymi nikt nie jest w stanie zapanować.

Dlatego też nigdy nie uległa namowom pani dyrektor, aby bibliotekę przenieść do budynku szkoły. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić sytuacji, w której dzień w dzień przez dziecięcy miesiąc w roku musiałyby znosić ten dziecięcy harmider zza drzwi. A poza tym za nic w świecie nie chciałyby opuszczać swej ciasnej samotni, gdzie mało kto zaglądał i gdzie jej jedynymi towarzyszami były książki, zakurzone roczniki gazet sprzed kilku dekad i im podobne – a więc to wszystko, co

zdołała tu zgromadzić w ciągu niemal trzydziestu lat pracy. Nie przyjmowała do wiadomości, że kiedyś będzie musiała się stąd wyprowadzić.

Już chyba wołałaby umrzeć.

I jeszcze ten widok zza okna! Cmentarz, z którego w ciszy wieczoru dochodziło basowe pohukiwanie sowy, a ponad korony drzew wzbijało się co jakiś czas stado wron wypełniających powietrze złowieszczym krakaniem i szumem tysiąca skrzydeł. To tu, zgodnie z miejscową legendą, spoczywały szczątki powstańca styczniowego, potomka rodziny Tarnowskich, założycieli i wieloletnich właścicieli Woźnickich Dołów.

Najbardziej lubiła cmentarz późną jesienią, gdy nagie gałęzie drzew nie zasłaniały grobów. Miała taki jeden szczególnie dzień, kiedy czekała, aż zapadnie wieczór, gasiła światło w bibliotece i przez kilka długich minut spoglądała ku ukrytym w mroku mogiłom, pogrążona w melancholijnej zadumie, z głową wspartą na dłoni i czołem na chłodnej szybie. Potem wkładała swój stary wełniany płaszcz, owijała się długim szalem i tak otulona opuszczała budynek, starannie zamykając za sobą drzwi. Bacząc, czy nikt nie patrzy, wychodziła na ścieżkę i drobnymi kroczkami szła ku cmentarnej bramie z długą, czerwoną kościelną świecą w dłoni, odebraną wcześniej na plebanii od księdza Sebastiana. Nigdy mu nie powiedziała, po co jej ta świeca. Nie musiał wiedzieć, nigdy zresztą nie pytał. I dobrze, bo gdyby tak zrobił, nie miałyby wyjścia. Musiałyby skłamać.

Chodziła tam więc każdego roku, niezmiennie, nawet nie próbowała liczyć, od jak dawna. Ile to już czasu minęło od tamtej okropnej nocy! Ile kolejnych zim i jesiennych wieczorów. Nie myślała o tym. Stawała pochyłona przed bramą, trzykrotnie powtarzała: „Wieczny odpoczynek...” i nie patrząc przed siebie, ostrożnie otwierała furtkę. Zazwyczaj

padało lub wiał przenikliwie zimny wiatr, często musiała odpalać świecę kilkakrotnie, nim zapłonęła na dobre. Osłaniała ją wtedy dłonią, przytulona do chłodnej ściany starej cmentarnej kaplicy.

Zmarli pojawiali się rzadko. Raz czy dwa razy mignął jej zaledwie niewyraźny cień, jakby zarys postaci w wojskowym mundurze i z bandażem na skroniach – przy krzyżu, o którym mówiono, że jest mogiłą powstańca. Kiedy indziej usłyszała coś, co przypominało ciche kwilenie dziecka, dochodzące zza zamkniętych wrót kaplicy. A raz, jeden jedyny, zobaczyła, jak pod aniołem przysiadła jej matka, ubrana w jasną letnią sukienkę niczym młoda dziewczyna, którą Halinka pamiętała z czarno-białych zdjęć trzymanyh w starym albumie w komo-dzie na strychu. Matka siedziała nieruchomo i patrzyła na nią smutnymi, krwistoczerwonymi oczami.

Nadejście zmarłych przeraziło Halinę tylko za pierwszym razem. Zmroził ją wtedy lodowaty dreszcz, który przeszedł po całym ciele. Ale później przywykła. Jak do snów. I zawsze kiedy szła w stronę cmentarnego parkanu, zastanawiała się, czy przyjdą kiedyś jeszcze. Być może właśnie dlatego wracała tam każdego roku. Czekala, aż płomyk nabierze mocy, stawiała świecę zawsze w tym samym miejscu i przez jakiś czas czuwała przy niej, pilnując, by nagły podmuch wiatru nie ugasił płomienia. Potem odwracała się, przemykała między mogiłami, zamykała furtkę cmentarną i spokojnie, krok za krokiem wracała do swojej bibliotecznej samotni.

Tak miało być i tym razem.

Księżyc, do tej pory jasno oświetlający okoliczne pola, wpłynął nagle za zasłonę chmur. Spojrzała na niego dokładnie w chwili, gdy otoczony barwną aureolą, zdawał się sunąć majestatycznie po wieczornym niebie. Było zimno, kałuże po obu

stronach ścieżki ściał przedwieczorny mróz i choć wiatr ustał, czuła, jak chłodne powietrze przenika przez kolejne warstwy ubrania aż do gołej skóry. Zawiązała mocniej długi, wełniany szal i przycisnęła do piersi świecę. Otworzyła ostrożnie furtkę, po czym weszła w obręb cienia rzucanego przez stuletnie wiązy. Nad głową zahuczała sowa, coś zaszurało w ciemności, a jej ciałem wstrząsnął nagły dreszcz. Nie była pewna, co go wywołało: chłód wieczoru czy niepokój duszy. Otrząsnęła się szybko i rozpoczęła nerwowe: „Wieczny odpoczynek racz im dać Panie...”, idąc w kierunku mogił.

Na chwilę przystanęła u stóp spoglądającego ku górze kalekiego anioła. Opowiadano, że grób ten krył ciała trojga dzieci, które zginęły w pożarze dworu tuż po wojnie, ale o tym Halinka nie lubiła rozmawiać, a kiedy ją pytano, szybko zmieniała temat. Napisy, starte przez wiatr i jesienne słoty, nic już nie mówiły, bezskrzydła rzeźba też milczała bezużyteczna – tylko patrzeć, jak runie któregoś wieczoru w miękką poduchę liści, dając pretekst tym, którzy od dawna chcieli to miejsce zrównać z ziemią. „Wszystko umiera”, przemknęło jej przez myśl, nawet te kamienie kiedyś ktoś pozbawi życia. I zostanie jedynie to, co pod spodem. Niewidoczne dla oka. „Niech odpoczywają w pokoju wiecznym”...

Nie dokończyła. Ostatnie słowo zawisło na wargach, niewypowiedziane, gdy spojrzała w stronę cmentarnej kaplicy. Lodowaty dreszcz po raz drugi przebiegł po całym jej ciele. Rozejrzała się wokół, nie rozumiejąc. I naraz jakby wszystko zastygło w bezruchu. Nie dobiegał jej żaden dźwięk, nie drgała żadna gałązka, zamilkła sowa, nawet okoliczne psy przestały szczeleć, a ona wpatrywała się bezmyślnie w to, co widziała przed sobą. I nie mogła w to uwierzyć.

Drzwi do kaplicy były uchylone.

Kurczowo zaciskając zmarzniętą dłoń na przyciskanej do piersi świecy, zrobiła trzy kroki naprzód. Z ciemnego otworu powiało grozą. Wyczuła obecność, niemal fizyczne zaburzenie przestrzeni płynące z wnętrza kaplicy, a jej ciało zaczęło dygotać. Zdawała sobie sprawę, że powinna teraz zostawić wszystko, rzucić świecę, pobiec do biblioteki, zaryglować drzwi i nie wychodzić stamtąd do rana. Ale coś nie pozwalało jej tego zrobić. Patrzyła jak zahipnotyzowana w ciemną szparę drzwi w poczuciu, że już wie, co za chwilę zobaczy. Już to kiedyś widziała, w jednym ze swoich snów. Ten sam obraz skąpany w bladej poświacie księżycy, ażur gałęzi nad głową, ciszę wieczoru i przyzywający ją ciemny otwór. Niczym wejście do głębokiego tunelu.

Zrobiła kolejny krok i przepelniona trwogą weszła na omszałe betonowe schody.



1

Poniedziałek przywitał inspektora Poradeckiego kolejnym tej jesieni atakiem porannego chłodu. Rześkość powietrza, kiedy opuszczał przedwojenny budynek komisariatu, zmrożone szyby samochodu, a nade wszystko brak czegokolwiek, co pozwoliłoby mu usunąć z nich szron, przywołały myśl, która tylko ugruntowała jego i tak już dość podły nastrój. Pomimo solennej obietnicy złożonej samemu sobie poprzedniej zimy, gdy pewnego dnia omal nie skończył na drzewie, cudem zatrzymawszy rozpedzony samochód tuż przed ścianą lasu, również i w tym roku zwlekał z czymś tak oczywistym jak wymiana opon.

Odpałił silnik i ustawił ogrzewanie na ful. Ciaśniej owinął się szalem i czekając, aż szyby odmarzną na tyle, by dało się je oczyścić starą kartą do bankomatu, przeklinał w myślach fakt, że nie wyciszył wieczorem telefonu, przez co zerwał się dziś na pierwszy dźwięk policyjnej syreny, którą w przypływie dobrego

humoru ustawił kiedyś na dzwonek. Automatycznie sięgnął po leżącą na podłodze komórkę i niewiele myśląc, rzucił do głośnika zwyczajowe „Czego?!”, zanim zdał sobie sprawę, że osoba po drugiej stronie niekoniecznie musi rozumieć i akceptować jego starokawalerskie poczucie humoru. Na szczęście tą osobą okazał się podkomisarz Sobotka, już na nogach i w pełnej gotowości.

– Obudziłem? – spytał, wyraźnie zadowolony ze swojego dowcipu, po czym rzucił szybko: – Dobra, żartowałem.

– Co jest? – warknął Poradecki, nerwowo próbując złapać kontakt z rzeczywistością. Miał wrażenie, że jeszcze przed chwilą znajdował się w zupełnie innej przestrzeni, zawieszony gdzieś między bytami. W starej chałupie, z rodzicami i młodszym rodzeństwem, jako kilkunastoletni chłopak. Nienawidził snów, które bez jego woli przenosiły go do krainy dzieciństwa. Niestety ostatnio przychodziły coraz częściej.

– Dzwonili z terenu – ciągnął tymczasem Sobotka. – Miejscowość nazywa się... Czekał, gdzieś tu zapisałem... Cholera jasna... mam. Woźnickie Doły. Jezu, kto wymyśla te nazwy?

– Co się stało? – Inspektor natychmiast przełączył Sobotkę w tryb oficjalny.

– Trup w bibliotece szkolnej – oznajmił tamten beznamiętnie. – Kobieta, pięćdziesiąt dwa lata. Chłopaki twierdzą, że nie wygląda to dobrze.

– Morderstwo?

– Tak mówią.

Poradecki zaklął i natychmiast otrząsnął się z resztek snu. Morderstwo w szkole, no pięknie. Nawet jeśli placówka w Woźnickich Dołach to podstawówka dla dwudziestu tamtejszych dzieciaków i czterech nauczycieli, to za chwilę będą mieli na głowie całą wieś, wójta, miejscowych radnych, lokalne media

i Bóg wie kogo jeszcze. Spojrzał na wyświetlacz komórki. Siódma piętnaście.

– Kto zgłosił? – zapytał, gramoląc się z łóżka.

– Niejaka Nowacka. Janina. Zdaje się, że dyrektorka. Strasznie spanikowana.

– Wyobrażam sobie... – westchnął Poradecki, otwierając drzwi do łazienki.

Teraz stał przy odpalonym samochodzie i czekając, aż szron na przedniej szybie zacznie topnieć, zastanawiał się, co zastanie na miejscu. Sobotka już tam pewnie dojechał, a wraz z nim policjanci z gminnego komisariatu, ale przecież i część dzieci na pewno przyszła do szkoły, te młodsze przyprowadzone przez rodziców lub dziadków. Nie było sposobu, aby przed nimi ukryć, że wydarzyło się coś niedobrego. Za chwilę cała wieś będzie huczeć od plotek.

Nie wyglądało to dobrze.

A jednak gdy odnalazł wreszcie budynek podstawówki w Woźnickich Dołach, ukryty pośród drzew starego parku, przy jednej z bocznych dróg, ze zdumieniem stwierdził, że szkoła pracuje, jakby nic się nie wydarzyło. W bramie przepuścił dzieciaka ciągniętego za rękę przez zaferowaną kobietę w grubym płaszczu i futrzanej czapce, być może babcią chłopaka, dla którego przyjsie tu dzisiaj było zapewne ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, co Poradecki wnosił ze spuszczonej głowy i ślamazarnego tempa, w jakim zmierzał ku wysokim schodom u wejścia. Kobieta niemal wlokła go za sobą, tłumacząc coś, czego zamknięty w samochodzie inspektor nie był w stanie usłyszeć, a co z łatwością potrafił sobie wyobrazić.

Budynek szkoły najwyraźniej miał swoje lata – tynk opadał od ścian dużymi płatami, farba łuszczyła się na drewnianych

framugach okien i drzwi, ale nawet to nie burzyło pierwszego wrażenia, które musiał odczuć każdy, kto widział to miejsce po raz pierwszy. Dwie masywne kolumny u wejścia sprawiały, że obiekt przypominał bardziej dziewiętnastowieczny dworek niż gmach mieszczący instytucję publiczną. Tym bardziej że otaczały go z trzech stron wysokie drzewa dawnego parku, tworzące wzdłuż drogi dojazdowej długą lipową aleję. Wiosną było tu na pewno prześlicznie, szczególnie w świetle wschodzącego lub zachodzącego słońca, ale o tej porze roku natłok nagich, bezlistnych drzew i wszechobecny półmrok nadawały okolicy raczej ponury charakter. „Idealne otoczenie na miejsce zbrodni”, pomyślał.

Poza wchodzącymi na schody babcią z wnuczkiem na parkingu przed szkołą nie było nikogo. Ani gromadki gapiów, której się spodziewał, ani policyjnego samochodu, ani nawet ogromnej terenówki podkomisarza Sobotki. Zaniepokojony, że pomylił nazwę miejscowości, podjechał pod same schody akurat w chwili, gdy przez frontowe drzwi wyszła niebrzydka kobieta w średnim wieku, okryta narzuconą na ramiona pikowaną kamizelką, w dopasowanych dżinsach i długich kozakach na obcasie. Nie podeszła do samochodu. Czekwała, aż Poradecki opuści pojazd i wejdzie na schody, tam odpowiedziała na powitanie nieznacznym ruchem głowy i nie mówiąc ani słowa, zmierzyła go pytającym spojrzeniem. Inspektor wyjął z kieszeni policyjną legitymację i podsunął kobiecie pod nos.

– Nikifor Poradecki, komenda powiatowa – przedstawił się, co sprawiło, że lekko pobladła i drżącym głosem spytała:

– Mój Boże, stało się coś?

Poradecki, już na sto procent przekonany, że popełnił jakiś głupi błąd, schował szybko dokument i tonem wyjaśnienia burknął:

– Wezwano nas do szkoły w Woźnickich Dołach, ale widzę, że coś pomyliłem. Nie było tu kolegów z gminnego komisariatu?

– A co by tu mieli robić? – zdziwiła się.

Poradecki zignorował pytanie.

– Czy mógłbym porozmawiać z panią dyrektor... Nowacką, tak? Chyba dobrze zapamiętałem nazwisko?

Kobieta znów przytaknęła zdawkowo. Najwyraźniej była jednak coraz bardziej zaniepokojona.

– Pani dyrektor nie ma jeszcze w pracy – odpowiedziała i natychmiast zastanowiła się, co to mogło oznaczać. – Boże, czy to o nią chodzi? – Bezwiednie zbliżyła dłoń do ust, jak gdyby chciała to pytanie wepchnąć sobie z powrotem do gardła.

Poradecki i tym razem nie odpowiedział.

– Czy jest w szkole biblioteka? – spytał zamiast tego.

– Słucham?

– Czy macie tu szkolną bibliotekę? – powtórzył, przesadnie oddzielając od siebie wszystkie wyrazy.

– Słyszę, co pan mówi – odparła lekko poirytowanym tonem. – Nie rozumiem tylko, dlaczego...

– Czy może pani po prostu odpowiedzieć na pytanie? – warknął, a twarz kobiety oblała się czerwienią.

– Kulturą to pan nie grzeszy – rzuciła, spoglądając gdzieś obok niego.

– A pani intelektem – odpalił, zanim zdążył ugryźć się w język.

Zaniemówiła. A on natychmiast pojął, że przeholował.

– Przepraszam – bąknął niechętnie. – Wygląda na to, że trafiłem nie tam, gdzie powinienem. Tracę czas.

– Nie mamy biblioteki w szkole – odpowiedziała z pozorów spokojnie, choć głos jej lekko drżał. – To znaczy formalnie mamy, ale mieści się ona w innym budynku. Nie, nie tutaj – dorzuciła,

widząc, że Poradecki ogląda się za siebie. – To raczej niespotykane, wiem, ale nasza bibliotekarka jest trochę... – zawahała się – ...no, inna trochę jest i dlatego... – Nie bardzo wiedziała, jak skończyć, zarzuciła więc pierwotną myśl i wskazała w kierunku, z którego Poradecki przyjechał. – Dojedzie pan do głównej drogi, przetnie ją i przy kapliczce skręci w prawo. Potem jeszcze trzysta, czterysta metrów po kocich łbach i będzie biblioteka. Taki stary parterowy budynek, najbrzydszy ze wszystkich. Na pewno pan pozna po czerwonej tabliczce. A co się... – Nie dokończyła, widząc, że Poradecki już schodzi po schodach. – Nie ma za co – burknęła za nim i stała tak jeszcze jakiś czas, patrząc za odjeżdżającym samochodem.

Rzeczywiście wystarczyło skręcić w prawo za kapliczką, by wszystko stało się jasne. Nawet gdyby kobieta nie opisała budynku, w którym mieściła się szkolna biblioteka, inspektor nie mógłby go z niczym pomylić, bo już z daleka widział, że dzieje się tam coś niezwykłego. Cztery samochody, w tym karetka, wóz policyjny i tak dobrze mu znany terenowy potwór podkomisarza Sobotki, stały wzdłuż wąskiej, brukowanej drogi i niemal całkowicie ją blokowały, co nie miało większego znaczenia, bo wokół samochodów i tak zebrała się już spora grupa gapiów, stłoczonych bezładnie za policyjną taśmą. Tuż za nią Poradecki dostrzegł kilka osób w mundurach oraz stojącą z boku bardzo szczupłą kobietę w kożuszkach, która – jak się domyślał – musiała być Janiną Nowacką, dyrektorką szkoły podstawowej w Woźnickich Dołach.

Podjechał i zaparkował powoli za jedynym samochodem, którego nie rozpoznał – zapewne własnością pani dyrektor. Zanim wysiadł, zerknął jeszcze szybko w lusterko i z dezaprobatą pokręcił głową. Do czego się doprowadził przez tych kilka

lat... Wprawdzie ostatnie miesiące rozmaitych diet i abstynencji pomogły mu wyjść z najgorszego, ale trudny czas po śmierci Morawca i rozstaniu z Martą, naznaczony nieokreślonym uczuciem do Doroty, skomplikowanej kobiety po przejściach, wrył na jego wychudłej twarzy całą historię pełną szalonych wlotów i dramatycznych upadków, mających kulminację w ostatecznym ultimatum usłyszonym pół roku temu od szefa wszystkich szefów. Brzmiało ono bardzo prostolinijnie i jednoznacznie: „Albo się za siebie weźmiesz, albo wypierdalas”. Chcąc nie chcąc, zmuszony był wybrać to pierwsze.

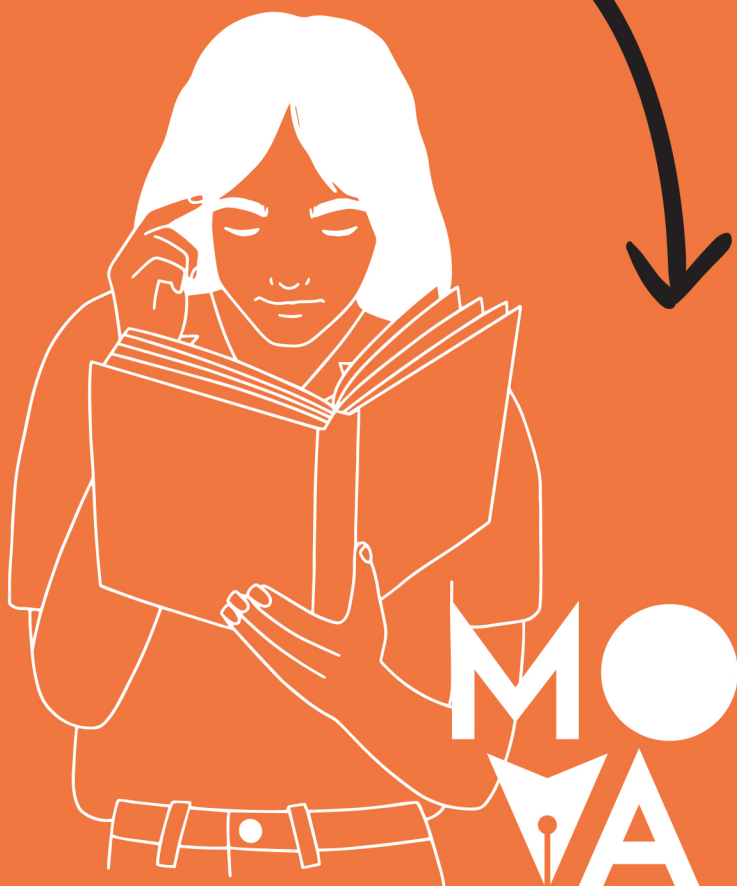
Wysiadł z samochodu w rześki, słoneczny poranek. Ciemne chmury ustąpiły miejsca głębokiemu błękitowi nieba, wiatr ustał i tylko resztki śniegu na masce samochodu oraz zamrożone oczka kałuż między kamieniami kocich łbów przypominały o porannym przymrozku. Poradecki skinął głową opartemu o radiowóz aspirantowi, który na jego widok wyprężył się nienaturalnie, a następnie podszedł do kobiety w kożusku. Spojrzała na niego półprzymkniętymi oczami. Ślady łez i rozmazanego tuszu do rzęs wyraźnie znaczyły się na policzkach, ale wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że tę osobę trudno wyprowadzić z równowagi. Choć smutna, minę miała zaciętą i z całą pewnością zdążyła już przeanalizować najróżniejsze komplikacje, jakie ją czekają w związku z zaistniałą sytuacją.

Inspektor machnął jej przed oczami policyjną odznaką i wyciągnął rękę, którą po chwili wahania delikatnie uściśnęła.

– Domyślam się, że to pani dzwoniła do nas dziś rano – zaczął, a kiedy potwierdziła ledwie widocznym skinieniem, dodał: – Chciałbym zamienić dwa słowa po tym, jak... – Wskazał głową wejście do budynku biblioteki. – Zaczeka pani jeszcze kilka minut?

Dyrektor Nowacka nieznacznie wzruszyła ramionami.

Sięgnij po więcej!



 www.mova.com.pl

 facebook.com/wydawnictwo.mova

 instagram.com/wydawnictwomova